

26.12.2004: Drugie życie

Z mojego dziennika:

„Wybrałem się z moją serdeczną przyjaciółką Anią na grudniową, planowaną na prawie miesiąc wyprawę po Tajlandii. Zabraliśmy plecaki, kilka niezbędnych rzeczy, wsiedliśmy do 11a Aeroflotu i poszybowaliśmy do Azji.

Cel podróży z mojego punktu widzenia był istotny. Zbliżam się do trzydziestki. Coś w życiu udało mi się osiągnąć. Kilka razy umknąłem śmierci na drodze. Postanowiłem przez miesiąc zrobić plan na najbliższe lata mego życia. Nowy plan. Z nowymi celami. Innymi niż uganianie się nie wiadomo ca czym i nie wiadomo po co.

Raj na ziemi

Tajlandia to raj na ziemi, spaliśmy w szałasach na dziewiczych plażach na wyspach, na których łatwiej spotkać małpy niż człowieka. Przemieszczailiśmy się po różnych zapomnianych wyspach na samym południu tego magicznego kraju. Po wielu miesiącach stresującej pracy wyluzowaliśmy się na maxa. Zapomnieliśmy o wszystkim tym, co zostało w kraju. Przezornie nie zabraliśmy ze sobą komórek, nie łączyliśmy się, poza Wigilią, z internetem. W takim błogim nastroju trafiliśmy w okolice miasta Krabi, gdzie zaplanowaliśmy poznać okoliczne malownicze wysepki oraz podziwiać wystające z morza ostańce skalne. W drugi dzień świąt wstaliśmy tradycyjnie już o świcie, zjedliśmy talerz owoców na śniadanie i wyruszyliśmy łodzią na morze. Plan był taki: Obejrzenie pięciu malowniczych wysepki i przylegających do nich lagun. Dzień zapowiadał się piękny, na łodzi ciepła słona woda morską zraszała nasze twarze. Płynąc na pierwszą wysepkę podziwialiśmy krajobrazy, jakich dotąd jeszcze nie odkryliśmy w tym kraju i nigdzie indziej na ziemi. No i przyплыliśmy na pierwszą wysepkę. Krystalicznie czysta woda, biały piaseczek, a 100 metrów przed wyspą przepiękny kilkumetrowej wysokości ostaniec skalny wystający z wody. Wokół tej skały roilo się od pięknych ryb oraz rafy koralowej. Oczywiście wyciągnęli-

śmy nasz sprzęt abc, który zawsze mieliśmy ze sobą i daliśmy nura do trzydziestostopniowej wody. Rozkosz.

Fala

Po wyjściu z wody schroniliśmy się na piasku pod wielkim drzewem liściastym. Oddaliśmy się lekturze przewodników. Zbliżał się już wielkimi krokami kres naszej wyprawy. Należało więc zaplanować trzydniowe zwiedzanie Bangkoku: dzielnica chińska, szmaragdowy Budda, liczne Waty, czar zakupów w tym tajemniczym mieście. Rozmarzyliśmy się.

W tym momencie ktoś dał nam znać, że mamy płynąć dalej, na następną wyspę. Ociągaliśmy się jednak, ponieważ było naprawdę pięknie. Idylla.

Gdy powoli zaczęliśmy wstawać, znad skały znajdującej się przed nami wyrosła nagle potężna fala.

— W tym miejscu musiałem, w weekend sylwestrowy w szpitalu we Wrocławiu, gdzie zostałem przetransportowany z Tajlandii, przerwać pisanie. Po prostu nie mogłem. Nigdy pisanie nie szło mi tak opornie. Te obrazy miałem cały czas przed oczyma. Zobaczymy jak mi pójdzie po 6 tygodniowej przerwie —

No więc gdy powoli zaczęliśmy wstawać znad skały znajdującej się przed nami, wyrosła nagle potężna fala. Z wielkim hukiem runęła na nas. Nie było czasu nic zabrać. Nie było czasu pomyśleć. To co zrobiliśmy, to był taki odruch: odwrócić się i jak krab pustelnik spróbować uciec przed wielkim niebezpieczeństwem czyhającym na niego na plaży. Ale niebezpieczeństwo było nieubłagane. Niebezpieczeństwo było nieuniknione. I było ono potworne. Gwałtowne. Nieokiełznane. Nieziemskie.

Wsiadając za kierownicę samochodu liczymy się z tym, że możemy się zabić na naszych dziurawych drogach grzejąc po nich 160 km/h albo tylko 80 km/h, gdy najedzie na nas idiota z prędkością 160km/h. Nurkując możemy liczyć się z tym, że porwie nas prąd podmorski, że zastabniemy, bo jesteśmy słabo wyćwiczeni, że zaplątamy się w coś, że sprzęt zawiedzie i że też możemy zginąć, bo to w końcu sport ekstremalny. Idąc wieczorem po Warszawie możemy się liczyć, że nas ktoś będzie chciał obrabować, bo to takie bandyckie miasto, a jeśli się będziemy stawiać, to nas prawdopodobnie albo okaleczy, a w najgorszym przypadku zabije.

Ale będąc w raju nie spodziewamy się, że spod wody wyskoczy diabeł, taki szaleńczy i że jego celem będzie to, by nas unicestwić. I unicestwić wszystko i wszystkich wokół nas. A to się właśnie zdarzyło 26 grudnia 2004 r., w drugi dzień świąt w południowej Azji.

Ten diabeł mnie dopadł. Szybko. Z prędkością kilkuset km/h przeciągnął mnie kilkaset metrów przez las w głąb wyspy. Upadłem na ziemię. Ten lot trwał kilka sekund. Mgnienie oka.

- Żyję?

- Tak.

Powoli narasta wrzask ludzi. Taki przeraźliwy. Ludzie wołają różne imiona. W wielu językach. Powoli nasila się przerażające wycie tych, którzy ucierpieli.

- Jak wyglądam?

- Mogę się ruszać. Wstaję. Wstając zrzucam z siebie strzępy kąpielówek. Noga potwornie rozwalona. Mam wrażenie, że mam wszystko na wierzchu. Krwawienie.

Pierwsza myśl: gdzie jest Ania? Nie ma jej w zasięgu wzroku, a była przy mnie. Druga myśl: prawdopodobieństwo, że Jej się coś stało, jest ogromne. Trzecia myśl: tak długo, jak będę miał siły, będę Jej szukał i próbował pomóc.

Do dzieła: znalezionym przypadkowo umemłanym ręcznikiem tamuję krwawienie, podtrzymuję to co mi wystaje z uda i ruszam nieregularnym krokiem w głąb wyspy krzycząc „Ania”, „Ania tu Tomek”. Wracam. I znów w głąb wyspy. I znów wracam. Staram się przejść przez cały odcinek, tak jak Ona hipotetycznie mogłaby być niesiona przez falę. Nie czuję bólu. Koncentracja na maxa. Przed i w czasie nawet najbardziej trudnych chwil w moim dotychczasowym życiu nie byłem tak zdeterminowany i napalony, by wygrać.

Jest. Pod domkiem stojącym w głębi wyspy stoi ona. Dobiegam do niej. Ona na mój widok wpada w straszliwy płacz. Biegając spadł mi ręcznik. Nawet nie przytulam jej. Oglądam ją dokładnie. Wiele poważnych zadrapań. Uspokajam. Mówię, że teraz musimy się wziąć w garść. Mamy się cieszyć, że w przeciwieństwie do wielu ludzi na tej wyspie żyjemy i w tej radości musimy uciec stąd.

W tym momencie poczułem się słabo. To upał. Ponad 40 stopni Celsjusza. Ubytek krwi. Kładę się na murku przed domem pod dachem. Nic nie piję, zra-

szam usta. Proszę Anię o to, by chodząc po buszu uważała na siebie. Mówię, że musimy się błyskawicznie wydostać na ląd. Potem najlepiej do szpitala.

Piekło na wyspie

Pierwsza informacja z lądu: dowiadujemy się, że to duży kataklizm, który dotknął całe wybrzeże. Wiem już jedno: nie będzie szybkiej akcji ratunkowej. Jesteśmy na jednej z wielu maleńkich bezludnych wyseppek. Druga informacja z lądu: Idzie druga i trzecia fala, za ok. 60 min. Druga ma być potężniejsza niż pierwsza. Zakazuję Ani oddalania się w kierunku plaży, od której uderzyła fala. Ona ciągle gdzieś odchodzi i wraca.

Ludzie zaczynają się dziwnie zachowywać. Na nikogo z ocalałych nie można liczyć. Każdy szuka w głębi wyspy ukrycia dla siebie przed drugim uderzeniem. Na prośby o pomoc w każdym z języków, które znam, prośby, by mi pomóc zmienić miejsce, gdzie leżę, wszyscy odpowiadają wzruszeniem ramion i super newsem, że idzie nowa fala i trzeba się przed nią skryć. Podchodzi do mnie turysta z Niemiec. Starszy pan. Zaczynam z nim rozmawiać. Stracił żonę. Jest załamany. Pyta sam, czy i jak może mi pomóc. Mówię mu, że nie mam siły iść włąb wyspy, by szukać schronienia. Proszę, by znalazł dla mnie koc, na którym będę się mógł położyć za murkiem na którym leżę. Niech potem ucieka i sam się schroni. Wierzyłem, że ten półmetrowej grubości murek ma szansę jakoś mnie ocalić. Znalazł dla mnie kilka kocy, prześcieradło, którym mnie przykrył i butelkę wody. Tymczasem panika wzrastała. Nie nalegałem na Anię, nie pytałem co robi. Ufałem, że daje z siebie wszystko. Co chwila przybiegała zapytać jak się czuję. Widziałem, jak działała. Tak jak zawsze, dzielna, rezolutna, zdeterminowana. W pewnym momencie przysłała potwierdzona podobno informacja z lądu, że zbliża się fala. Ania znalazła dla mnie wygodny gumowy kajak, do którego się wczółgałem, a następnie z tym samym Niemcem wsunęła mnie do domku. Nie byłem pewien, czy to dobry pomysł. W malutkim parterowym domku leżało kilku poszkodowanych. Masa ludzi przebiegała koło mnie. Przechodzące głęby i ciuémoki co chwila deptali moje wystające na korytarz stopy i nogi. Ktoś zrzucił mnie z kajaka, w którym leżałem. Nie miałem siły się bronić. Zauważyłem, że w oknach są szyby. Dopiero po kilku minutach tłumaczenia jakiś Żabojad zakumał, że ma wybić wszystkie szyby w oknach, bo jak nas domek uratuje, to fala rozwali okna i skrawki szkła mogą być dla wszystkich w domu śmiertelnym niebezpieczeństwem. Tak, zrozumiał to, ale zaraz się zorientował, że choć mu nic nie jest (w domku zaraz pod oknem leżała jego ranna córeczka), nie jest w stanie poradzić sobie z rozwaleniem szyby. (Zawsze lekceważąco odnosiłem

się do wygodnego, asekuranckiego trybu życia i postępowania przez naszych przyjaciół z niektórych krajów Europy Zachodniej. I nie zawiodłem się. Tak po prostu jest. Tym gościom przez wiele lat koniunktury gospodarczej i dobrobytu poprzekręcało się we łbach.). Nie miałem już sił. Patrzyłem na to małe dziecko i modliłem się, by nic mu się nie stało, jak uderzy fala.

Cud

Ania przybiegała do mnie na początku co parę minut. Jak jeszcze miałem siły mówić i gestykulować, krzyczałem, że ma się schować, i pod żadnym pozorem nie udawać w kierunku plaży, skąd miała przyjść druga fala.

Wiedziałem, że mnie nie słucha, nigdy tego nie robiła.

Wiedziałem, że robi wszystko, by nas ewakuować i mi pomóc. Z minuty na minutę ludzie byli coraz bardziej nerwowi. Już nikt nawet nie próbował się uśmiechać.

Czekałem. By jeszcze raz zobaczyć Anię, z którą przecież kiedyś przeżyliśmy razem wiele pięknych lat.

Przez wiele minut jednak nie przychodziła. Nic nie mogłem zrobić. Leżałem nieruchomo w kałuży krwi przyciskając brudny, słony ręcznik do uda. Kilka razy jacyś frajerzy przechodzili i tłumaczyli mi, że w tej temperaturze, to mogę się nabawić infekcji i innych chorób. Ręce mi opadają jak sobie o tym przypominam.

I w pewnym momencie usłyszałem głos Ani przed budynkiem. I zaraz widzę jak wchodzi rezolutna Ania a za nią pięciu, może sześciu, elegancko ubranych w szorty i polo džentelmenów, którzy niosą plastikowy kajak. Ania informuje mnie, że zabierają mnie z wyspy.

Teraz już szybko. Nieporadni panowie w jeszcze bardziej nieporadny sposób przenoszą mnie już do kajaka.

Po drodze przez las dowiaduję się, że są ze Szwajcarii, byli nieopodal wyspy, gdzie czeka ich duża motorówka i że Ania przekonała ich, by nam pomogli. Zrobili to natychmiast, wsiedli na kajak, którym Ania kilkaset metrów podpłynęła do nich z wyspy, nie przebierali się, mimo silnych wirów spowodowanych falą i mimo tego, że kilka razy spadali z tego kajaka do wody. Dotarli do mnie.

Po drodze przez las mijamy licznych zabitych oraz ludzi ciężko okaleczonych. Kilka razy o mało co nie spadam z kajaka. Jesteśmy na plaży.

I teraz wyścig do motorówki. Kto szybciej. Moi wybawiciele czy druga fala. Po kilkunastu minutach jesteśmy na jachcie. Teraz gaz do dechy i na otwarte morze.

Udało się. I nie był to łut szczęścia. To był mistrzowski wyczyn Ani prowadzonej, inspirowanej i wspieranej przez Boga. Pomoc na wyspę trafia po kilkunastu godzinach. Nie miałem prawa przeżyć tego.

Nie ma czasu na apteczkę, obmywam rany wodą mineralną, przykrywam prześcieradłem. Płyniemy do najbliższego brzegu.

Zatrzymujemy się zaraz przy drodze biegnącej wzdłuż brzegu. Zatrzymuje się pierwszy jadący pick up. Wszyscy pasażerowie błyskawicznie, bez prośb, bez przekonywania, bez tłumaczenia z naszej strony schodzą z niego i dają sygnał eleganckim panom i Ani, by mnie natychmiast umieścili na ich miejscach. Oni mają czas. My nie. Oni o tym wiedzą. Z okolicznych domów nagle wychodzą ludzie z derkami, robią mi błyskawicznie dość wygodne poślanie na dość niewygodnej pace. Kobiety przynoszą jeszcze wodę. Jeszcze tylko uścisk dłoni i „dziękuję” oraz „powodzenia”.

I gaz do dechy. Killkadziesiąt minut po dziurawych drogach, do Krabi do szpitala. Po drodze mijamy pełno ambulansów, policji, wojska. Teraz widzimy. To nie był wypadek. To jakiś potworny kataklizm.

Wjeżdżamy do Krabi i po kilku minutach jesteśmy na parkingu przed szpitalem.

Tutaj tłum ludzi. Ale nie gapiów. To cywile i pielęgniarce. Ułożeni w szpaler. Jedni błyskawicznie przenoszą mnie na nosze, inni przyczepiają trwale do ręki identyfikator, gdzie wpisują moje nazwisko.

Zaraz z za nich pojawia się dwóch młodych mężczyzn w białych fartuchach. Są skoncentrowani, jakby szli na jakiś straszliwy bój. Błyszczą się im oczy. Ścisną mi dłoń i przedstawiają się, że są lekarzami - chirurgiem-ortopedą i anestezyjologiem. Jeden z nich ogląda wnikliwie moje nogi, drugi pyta, kiedy co jadłem. Kilka sekund wymieniają między sobą zdania po tajsku. Gdy się dowiadują, że od rana nic nie jadłem, mówią, że powinni mnie natychmiast zoperować. Nie dyskutuję. Wierzę, że chcą dla mnie jak najlepiej.

Po drodze na blok operacyjny pielęgniarki dość dokładnie obmywają okolice rany. Uśmiechają się do mnie. Potem już maska, prośba o kilka głębokich oddechów.

Obudziłem się wieczorem. Na łóżku na kilkuosobowej sali, przy przejściu. Podłączony do różnych kroplówek. Otoczony kilkoma uśmiechniętymi pielęgniarkami. W tym momencie pojawił się przenikliwy ból. Pani pielęgniarka ma już przygotowany zastrzyk. Łamanym angielskim tłumaczy, że to morfina.

Za kilka minut podchodzi do mnie lekarz, który mnie operował. Taki młody człowiek. Skoncentrowany. Na twarzy widzę wielkie zmęczenie. Mówi, że operacja się udała, nie ma żadnych wewnętrznych obrażeń, ale rany są bardzo głębokie, rozległe, brudne i zainfekowane. Mówi też, że wydarzyła się wielka katastrofa. Pokazuje na pacjentów leżących na ziemi. Jest smutny i zmęczony. Wraca na blok operacyjny.

Szpital zapełnia się błyskawicznie. I chorymi ludźmi i przede wszystkim ludzkim cierpieniem. Płaczem. Pojawiają się pierwsi wolontariusze. Tajowie z napisem na tekturce „wolontariusz, mówię po angielsku”. Pytają każdego, czy mogą jakoś pomóc. Pomagają. Jadą z Anią kilkadziesiąt kilometrów po nasze bagaże i pomagają załatwić wszelkie formalności. W szpitalu błyskawicznie uruchamiana jest bezpłatna linia telefoniczna. Wolontariusze namawiają, by dzwonić do bliskich za granicę, by zawiadomić ambasady. Zaraz potem funkcjonuje już łącze internetowe. Na parkingu przed szpitalem miejscowi kupcy jeszcze w pierwszy wieczór ustawiają skrzynie z ciuchami. Inni instalują urządzenia do gotowania. Jeszcze inni znoszą wodę i napoje. Wolontariusze wraz z pielęgniarkami przynoszą jedzenie i picie chorym. Pytają czy nie potrzeba jakichś ubrań. Jakaż organizacja, determinacja. W tym smutku, cierpieniu, oczekiwaniu pojawiają się, mimo, że jest noc, słoneczne promyki.

Jestem spokojny. Wiele jeszcze przed nami, ale udało się.

Jest 14 lutego 2005 r., trzecia nad ranem. Leżę od początku stycznia w Krakowie w Szpitalu im. Rydygiera na Oddziale leczenia oparzeń i chirurgii plastycznej.

Od tygodnia czuję się świetnie, chodzę swobodnie sam. Nie czuję żadnych dyskomfortów.

Lekarze dokonali z pomocą Boga cudu. Przywrócili mi zdrowie. To był najcięższy ale i jednocześnie najpiękniejszy okres w moim życiu. W tym czasie dopingowali mnie wraz z całym personelem oddziału i niesłychanie profesjonalnie i szybko doprowadzili do tego, że wkrótce będę w domu.

Gehenna się kończy. Życie jest piękne!” Kraków, 14 lutego 2005 r.

„A tak to było w szpitalu:

Po weekendzie sylwestrowym trafiłem na oddział leczenia oparzeń w szpitalu im. Rydygiera w Krakowie.

Przyjechałem po południu. Byłem przerażony.

Odkąd w sylwestrowe popołudnie po raz pierwszy ujrzałem moją ranę w szpitalu we Wrocławiu, życie stało się dla mnie gehenną. Przez cały weekend przy zmianach opatrunków wylem z bólu. Lekarze robili to wprawdzie super delikatnie, ale ból był okrutny.

Rana była dla mnie jako laika przerażająca. Nie wiedziałem i nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, czy coś takiego da się w ogóle wyleczyć, jak to się robi etc.

I przyjechałem do Krakowa. Potoczyło się to bardzo szybko.

I natychmiast nastąpiła pierwsza chwila przerażenia. Przed wjazdem na oddział miałem się wykąpać. W takiej wesołej wannie na kółkach. I wtedy pomyślałem sobie: Skoro w szpitalu we Wrocławiu opatrunki zmieniał mi zawsze lekarz chirurg i robił to z wielkim namaszczeniem, z największą delikatnością, a ja się darłem, jak mały bachor, to co będzie, jak tę samą ranę zacniemy polewać, oplukiwać i nie daj boże myć jakimiś środkami. Pierwsza moja myśl, którą się podzieliłem zresztą z lekarzem, który mnie przyjmował, była taka, że nie wytrzymam bólu.

W pewnym momencie pojawił się młody sympatyczny człowiek i zaaplikował mi jakiś środek (to był początek ćpania.). I stało się coś dziwnego. Prawie bezboleśnie przetrwałem i kąpiel i opatrunek. Coś nie tak, pomyślałem.

Nazajutrz dowiedziałem się od ordynatora, że mam „współpracować”, czyli jeść i pić odżywki (świństwo, jak będę chciał zrobić komuś niesmaczny dowcip to zamiast piwa naleję mu nutrisonu, a wcześniej zarygluję toaletę) i myśleć pozytywnie. Z perspektywy czasu powiem otwarcie, wbrew namowom prze-sympatycznej pani dietetyk sabotowałem regularnie obowiązek raczenia się odżywkami.

W życiu zdarzało mi się jeść glizdy (na chrzcie żeglarskim czy kajakowym), zżeram regularnie różne pełzające świństwka oraz inne stwory (ślimaki,

ostrygi etc.), kiedyś (obciach się przyznać) czasami żywiłem się w McD. Ale nie nutrison.

Nazajutrz poznałem też doktor Kasię (fajna wesoła laska).

I po pierwszej wizycie, po pierwszych opatrunkach nabrałem pewności co do jednego: Nie wiedziałem jeszcze jak długo tu będę leżał, jak będzie wyglądało leczenie etc. Byłem jednak pewien jednego: **TU ZOSTANĘ SKUTECZNIE WYLECZONY.**

Od początku podziwiałem technologię pracy oddziału i wszystkich pracujących tu ludzi. Wszystko idealnie zorganizowane. Jaką ulgą była dla mnie myśl, że z podobnych i o wiele gorszych ran od kilku lat skutecznie leczy się tutaj ludzi. Ta pewność była dla mnie super ważna.

Był i inny ważny element, który mi pomógł szybko wyzdrowieć: Przesympatyczny i uśmiechnięty personel oddziału. Przez wiele dni budziłem się krótko po 4.00 nad ranem. Wiedziałem mianowicie, że ok. 5.00 przyjdzie do mnie albo uśmiechnięta pani pielęgniarka, albo wesoły pan pielęgniarski, jak się później dowiedziałem ratownik, by zmierzyć mi temperaturę, pobrać krew etc. Była też jedna pani pielęgniarka, mierzyła mi ciśnienie „na czuja”. Do dziś nie wiem, czy mnie picowała, czy nie, załóżmy że nie. Ważne, że było wesoło.

Dwie godziny później przychodził do pracy Pan Tadeusz i wtedy zawsze wiedziałem, że do popołudnia dzień będzie mi mijał błyskawicznie. Dużo rozmawialiśmy, Pan Tadeusz pomagał mi w tylu momentach.

I ta serdeczność, uśmiech na twarzy i ciepło, z czym zostałem skonfrontowany leżąc, jak to określił któryś z moich przyjaciół, w terrarium i bijąc się z traumatycznymi wspomnieniami z katastrofy, którą udało mi się przeżyć, bardzo mi pomogły.

Pod wieloma względami pobyt na Oddziale był dla mnie ważny. Oto kilka z nich:

Podjąłem kilka kluczowych decyzji dotyczących mojego życia zawodowego. Nosilem się z tym zamiarem od około roku, lecz nie było nigdy czasu, by prześledzić wszystko od początku do końca, by przespać się z pomysłami.

Postawiłem, mam nadzieję, we właściwym miejscu „kropkę nad i” w zakresie mojego życia osobistego. Ostatni rok był rokiem pełnym wtop wynikających z braku decyzji. I tu też bezprecedensowo miałem masę czasu, by wszystko

przemyśleć, pogadać do bólu z wszystkimi zainteresowanymi. Nigdy nie miałem dla NICH czasu. Czas znalazł się w terrarium.

Poznałem miejsce, gdzie tak wielu ludzi wykonuje tak pięknie tak niesamowicie ciężką i odpowiedzialną pracę. Przeżyłem szok widząc starania Lekarzy, Pań i Panów Pielęgniarzy, Ratowników oraz Sanitariuszek zmierzających do wyleczenia ludzi. To naprawdę ciężka praca. I taka odpowiedzialność.

Dowiedziałem się, że nawet dłuższa absencja niekoniecznie musi oznaczać, że w pracy i w innych sferach się wszystko wali. Wcześniej wybywając na dziesięć dni na urlop obawiałem się, że pod moją nieobecność wydarzą się katastrofy etc. A tu proszę, nie pracowałem trzy miesiące i gdy wróciłem w marcu miałem wrażenie, że jest 9 grudnia 2004 r. (10 grudnia wsiadałem do Iła Aeroflotu).

Jeszcze nigdy tak uważnie nie słuchałem tylu ludzi. Zazwyczaj to ja mówię, kto co ma zrobić, a następnie to egzekwuję. I w domu i w pracy. A tutaj ze spokojem wykonywałem zalecenia Pani Doktor oraz wszystkich Pracowników Oddziału. Moi przyjaciele, którzy mnie odwiedzali, nie mogli mnie poznać, pytali czy to jakiś szok pourazowy, czy może trwała choroba. Nie ufałem dotąd w tak ogromnym stopniu tylu ludziom. Od pierwszego dnia pobytu w szpitalu. I tu muszę się przyznać, że w jednej dziedzinie sabotowałem w 100% zalecenia. Chodzi o nutrison, do którego wypijania wszyscy mnie namawiali. Jeden z kolegów wylał raz nawet kubek nutrisonu do zlewu, ponieważ chciałem się personelowi szpitala pochwalić, że piję zdrowe świństwo. A, i raz w trzeci dzień po trzecim zabiegu wstałem wbrew zaleceniom z łóżka by się przespacerować po moim terrarium. Tyle moich grzechów. Chyba mało jak na 2 miesiące pobytu. Poza terrarium zazwyczaj jest ich więcej.

Pierwszego marca byłem w domu. Drugiego marca w pracy. Dwudziestego marca jeździłem na rowerze po lesie po śniegu. Trzydziestego marca wybiegłem z nartami na plecach na Halę Goryczkową (60 min. marszu, można kolejką, ale od siódmego roku życia zawsze wychodzę na piechotę - dlatego i teraz miałoby być inaczej) i zjechałem sześć razy z Kasprowego.

Dzięki Wielkie Wszystkim Tym, którzy mi to umożliwili. Znaleźć ICH można w Rydygierze na parterze za drzwiami z tabliczką Oddział leczenia oparzeń i chirurgii plastycznej.

Zmieniam moje życie. Bezkompromisowo. Praca przestaje się liczyć. Najważniejsze pozostają marzenia. Ich realizacji wszystko podporządkowuję.” Warszawa, kwiecień 2005.